ROZMAITOŚCI.

Dnia 14 marca, N^er 11. roku 1846.

HRABIA de MONTE-CHRISTO.

1. Sindbad, majtek.

W pierwszych dniach wiosny roku 1838, wybrał się był pewien młody Francuz, imieniem Lucyjan d'Epinay, w małą przejażdkę morską, mającą głównie na celu zwidzenie wyspy Elby. Przetropiwszy wszelkie ślady olbrzyma, który tam przez krótki czas przebywał a wieczną po sobie pamięć zostawił, udał się nasz wędrownik na poblizką wyspę Pianosa, zkąd idąc za radą swego włoskiego sternika Gaetano, popłynął na mały, odludny ostrów Monte-Christo zwany, zamieszkały tylko od trzód pasących się tam kóz dzikich. Wiatr dał pomyślnie, a lekki statek ślizgał się chyżo po falach, lecz odległość była dość znaczna, a przeto już się mocno zmierzchło nim do wyspy przybili, i na jéj samotnym brzegu jakiś duży ogień ujrzeli.

To niezwyczajne zjawisko strwożyło sternika, który teraz młodemu Francuzowi z pośpiechem wyznał, iż rzeczona wyspa nieraz korsarzom, przemytnikom, i innym dwuznacznéj wziętości ludziom, za miejsce przytułku służyła. Lucyjan nie dał się tém zatrwożyć, lecz kazał bliżéj podpłynąć, a wkrótce ozwała się ku nim straż z brzegu, która po rozmówieniu się w kilku słowach z Gaetanem, na chwilę z oczu zniknęła, ale wnet z powitaniem do nieznajomych wróciła.

Przybili więc do wyspy, naniecili duże ognisko, a powoli minęła wszelka ich obawa, i przyszło im na myśl, wymieniać kilka kuropatw z Pianosy za kawałek pieczonéj koziny, któréj zapach zbyt ponętnie od poblizkiego ogniska wcześniejszych téj wyspy gości ku naszym późniejszym przybyszom zalatywał. Wyprawiony z tém poselstwem Gaetano, przyniósł Lucyjanowi zaproszenie od naczelnika przeciwnéj strony: aby do niego na wieczerzę przyjść raczył, lecz pod wyraźnym warunkiem: jeźli się tam z zawiązanémi oczyma da zaprowadzić.

»Jakto?» zapytał Lucyjan — »czyż ten naczelnik ma tu swój dom?»

»Nie» — odrzekł Gaetano — »domu on nié ma, lecz ma wszelkie wygody, jakich do mieszkania potrzeba.»

»Jakże się nazywa?»

»Sindbad, majtek.»

»Sindbad, majtek! jakże się on tu dostał?»

»Małym lecz pięknym i szybko żeglującym okrętem.»

»Więc jest bogatym?»

»Powiadają iż ma podziemny pałac, z którym nawet pałac Pitti nie może iść w porównanie.»

»Ha, kiedy tak, więc obaczę tam zapewne skarby i kosztowności z »Tysiąc i jednéj nocy.» Jestem tak bardzo rozciekawiony, iżbym nawet wgłąb pieczary Ali Baby wejść gotów.»

Zaczém bez namysłu dał sobie nasz Francuz oczy zawiązać, i poruczył się straży dwóch przewodników. Po niedługim czasie poznał po zmianie temperatury, iż już w jakiméś jest podziemiu, a wkrótce uczuł, iż stąpa po dywanie. Wtém, opuścili go obadwaj przewodnicy.

»Witam pana» — ozwał się ktoś po francuzku, z wcale dobrym akcentem. »Teraz możesz już sobie zdjąć z oczu zasłonę.»

Lucyjan nie czekał, aż mu ktoś drugi

raz to powić, rozwiązał czémprędzéj chustkę, i ujrzał przed sobą mężczyznę około lat czterdziestu, o nadzwyczajnie piéknéj ale bladéj twarzy, w zwykłym stroju mohamedańskich krajowców z Tunetu. Wkrótce jednak zwrócił się wzrok Francuza mimowolnie z mieszkańca na jego mieszkanie, które było przepysznie urządzonym pokojem, okrytym powszędy tureckiémi kobiercy, oświetlonym piękną wenecką lampą; po ścianach wisiały bronie arabskie, ozdobione drogiémi kamieniami.

»Darujesz pan» — rzekł gospodarz do swego młodego gościa — »żem go w tak nieprzyzwoity sposób przyprowadzić tu kazał. Ale ponieważ ta wyspa powszechnie za bezludną uważaną bywa, przeto łatwo sam pojmiesz, co za niebezpieczne skutki dla mnie ztądby wyniknąć mogły, gdyby to mieszkanie odkryto. Wszakże pocieszam się nadzieją, iż wyborna wieczerza i dogodny nocleg, wynagrodzą panu tę nieprzyjemność.»

»O mój zacny gospodarzu» — ozwał się wesoły Francuz — »Nie mówmy o téj fraszce; nieraz to czytałem, iż wszystkim, którzy do zaczarowanych pałaców wchodzili, wprzódy oczy zawiązywano, i sądzę w istocie» — dodał spoglądając w około — »iż w czarodziejskim pałacu jestem.»

»Każdy człowiek ma swoje widzimi się. Wszystko jest takie, jak sobie ktoś wyobrazi... Dla mnie, jestto moja pustelnia, w której pan dowolnie rozgościć się możesz. Ali, wieczerza czy już gotowa?»

Na te słowa pokazał się czarny jak węgiel Nubijczyk, w széroką, białą szatę przyodziany, który skłoniwszy się pokornie, zaprowadził gościa w milczeniu do pobocznéj komnaty. Zastał on tam suto i kosztownie zastawiony stół z wieczerzą. Półmiski — srébrne, talérze — z chińskiéj porcelany, na nich ryby morskie, raki, źwiérzyna, bażanty i korsykańskie ptaszki. W kątach komnaty stały posągi trzymające czary z pomarańczami, granatowemi jabłkami i figami. Im dłużéj trwała wieczerza, tém poufniejszą stawała się rozmowa.

»A zatém, jak ów sławny majtek, którego miano pan nosisz, całe życie w podróży spędzasz?» ozwał się Lucyjan do swego gospodarza.

»Tak jest; jestto w skutek ślubu, który natenczas uczyniłem, gdy jeszcze o możności wypełnienia go pomyśléć wcale nie mogłem»— odpowiedział zagadniony z uśmiéchem. »Oprócz tego, czyniłem jeszcze wiele innych ślubów, które, jak się spodziéwam, wszystkie po kolei się ziszczą.»

»Zapewne wiele uciérpiałeś?» zapytał Lucyjan.

Sindbad wzdrygnął się mimowolnie na to zapytanie i wpatrzył się bystrym wzrokiem w młodego Francuza. »Zkądże panu przyszło, pytać mię oto?» — odrzekł.

»Różne znamiona na to mię naprowadziły: twój głos, twoja bladość twarzy, twój sposób życia, panie.»

»Życie, które prowadzę, jest najszczęśliwszém, jakie sobie tylko pomyśléć można: jestto prawdziwe życie rozkoszy — życie Baszy! Jestem jak ptak wolny, bawię gdzie chcę, idę dokąd mi się podoba. Moi ludzie słuchają moich rozkazów, a przytém robi mi to czasem przyjemność, jeźli niekiedy sprawiedliwość ludzką w dopełnianiu jéj obowiązku wyręczę. Nadto mam jeszcze wiele osobliwszych planów i zamysłów, które niestety, dopiéro z czasem urzeczywiszczonémi być mogą!»

»Może jaka zemsta?» zagadnął Lucyjan.

Nieznajomy wlepił powtórnie przenikliwe spojrzenie w swego gościa, jakby najskrytszą głąb jego myśli chciał zbadać. »I dla czegoż sądzisz, iż zemsta?»

»Ponieważ zdajesz się być człowiekiem» — odparł Lucyjan — »który jest przez społeczeństwo prześladowany, a przeto masz powód sprawić się z niém żelazem.»

»Być może» — odrzekł Sindbad, uśmiéchając się dziwnym sposobem, podczas gdy mu z oczu ogień błyskał.

Wraz z wetami przyniósł Nubijczyk małą tackę z oryjentalnym napojem Hachysz zwanym. Nieznajomy unosił się w pochwałach nad tym czarodziejskim napo-

jem, i zniewolił Lucyjana do zasmakowania w nim; był to napój rozkosznie odurzający.

Po skończonéj wieczerzy, wrócili obaj do pierwszego pokoju, gdzie rozłożywszy się na miękkich dywanach, pozapalali fajki z prawdziwych tureckich cybuchów, osadzonych w ambrowe trzonki, których woń do reszty Lucyjana w rozkoszne rozkołysała marzenia. Wszelkie całodziennémi trudami sprawione unużenie rozwiało się w błogość; nieznana dotąd lekkość unosiła ciało młodzieńca; zmysły jego nabyły jakiéjś bezcielesnéj, duchowéj wolności, a rozpłomieniona wyobraźnia wzbudzała w nim rozmaite wizyje i uczucia, o jakich dotąd żadnego nie miał pojęcia — aż w końcu lekki sen wszystko swoją błogą, mglistą zwolna okrył zasłoną.

Przebudziwszy się, ujrzał się Lucyjan samotnym w pustéj jak grób jaskini, na prostém łożu ze słomy.

Gdy się zerwał i wyszedł z jaskini, postrzegł swego sternika i owych majtków, którzy go tu dnia wczorajszego przywieźli, jako też statek, stojący niedaleko u brzegu na kotwicy. Sternik jego zbliżył się grzecznie i powiedziawszy mu dzień dobry, rzekł:

»Mamy zlecenie od szlachetnego Sindbada, abyśmy pana w jego imieniu przeprosili, iż przed swoim odjazdem, nie mógł widzieć się z panem, gdyż nagłe sprawy powołały go do Malagi.«

»Więc już odjechał?« zapytał Lucyjan.

»Tak jest« — odrzekł sternik — »oto widać jeszcze okręt jego, weź pan dalowid do ręki, a może jeszcze dostrzeżesz go na pokładzie.«

Lucyjan spojrzał ku morzu i ujrzał w istocie oddalający się okręt.

»Senżeto czy rzeczywista jawa?« ozwał się sam do siebie, przechadzając się wzdłuż wybrzeża; poczém naszukawszy się daremnie wnijścia do tajemniczéj groty Sindbada, zjadł na prędce śniadanie, wrócił do swego statku, i odpłynął ku włoskim brzegom.

* * *

2. Bandyta rzymski.

Najprzód udał się Lucyjan do Florencyi, a ztamtąd w prost do Rzymu, przyrzekłszy swemu przyjacielowi Albertowi de Morcef, spędzić tam ową krótką porę karnawałową, w któréj się Rzym na chwilę z swojéj smutnéj zamarłości przebudza, i na kilka tygodni do przemijającego, ułudnego życia powraca. Obaj przyjaciele najęli sobie spólne mieszkanie w angielskim hotelu Palestrini, a ponieważ Lucyjan oddawna już z Rzymem był obeznany, przeto miał sobie za obowiązek służyć Albertowi za *cicerona.* Pierwszém jego staraniem w tym nowym zawodzie, było pokazać przyjacielowi Kolosseum przy świetle księżyca; aby zaś ten widok tém mocnéj go zachwycił, sądził Lucyjan za rzecz potrzebną zawieźć go tam taką drogą, którąby nie mógł widzieć wprzód ani Forum, ani Kapitolu, ani kolumny Septimiusza Sewera. Chcieli więc wyjechać bramą del Popolo, a mieli wrócić nazad przez bramę San Giovanni. Wszakże gdy o tém w obecności gospodarza hotelu mówić zaczęli, przedstawił im tenże zamierzoną przejazdkę jako zbyt niebezpieczną, a prawie niepodobną.

»Niebezpieczną? i czemuż?«

»Z powodu osławionego Luigi Vampa.«

»I któżto jest ten osławiony Luigi Vampa, panie gospodarzu« — zapytał Albert, — »Być może, iż on w Rzymie jest wszystkim znany, lecz w Paryżu, zaręczam, nikt o niém nie wié.«

»Jakto, panowie go nie znacie!« rzekł gospodnik.

»Istotnie téj przyjemności nie mamy.«

»A więc powinniście panowie wiedzieć, iż to jest sławny zbójca, z którym ani Decessario ani Gasparoni mierzyć się nie są godni.«

»Nie opowiedziałżebyś nam historyi jego?« rzekł Lucyjan, biorąc krzesło, i prosząc swego *padrone*, aby usiadł.

»Jeźli *eccelenze* chcą słuchać« — odrzekł chętnie gospodnik. »Mogę śmiało powiedzieć, iż w całym Rzymie nie masz czło-

wieka, któryby dokładniejszą wiadomość o Luigi Vampa dać był w stanie; znałem go jeszcze dzieckiem.»

„A więc musi być jeszcze młody?»

»Zaledwie dwadzieścia i dwa lat ma. Pasł on niegdyś trzodę w dobrach hrabiego San Felice, między Palestriną a jeziorem Gabryjskiém. Jeszcze będąc chłopcem, odznaczał się zawsze niezwykłym charakterem. Nie mógł on się wprawdzie oddalać od swojéj trzody, lecz ile razy z Palestriny do Borgo z nią przeciągał, zawsze prosił wtedy tamecznego plebana, aby go czytać i pisać uczył; a chociaż ta nauka zbyt krótko trwała, przecież nikt w całéj wsi tyle co on z niéj nie zkorzystał.

Miał on natenczas może lat siedm. Około tegoż samego czasu pasała w sąsiedztwie pewna mała dziewczyna, młodsza od Luigiego o rok albo dwa lata. Zapoznali się oni z sobą, bawili się wciąż razem i ani chwili bez siebie żyć nie mogli. Dalsze lata wzmocniły jeszcze bardziéj ten związek między Luigim a Teresą. Jakoż i obopólny ich charakter ściśle ich z sobą wiązał. Vampa był nadzwyczajnie ognistym, namiętnym, pełnym żądzy chwały i panowania; Teresa była nadmiar hożą, wesołą i zalotną, i umiała jedném słowem, jedném spojrzeniem trzymać na uwięzi młodziana. Vampa marzył wciąż tylko o tém, jakby mógł zostać kapitanem okrętu lub jenerałem; Teresa była również do miłych przywidzeń skłonna, i roiła sobie ciągle mieszkanie w przepysznych pałacach, i w stroinych szatach, widziała się otoczoną orszakiem sług galonowych i wielkim dworem, jako wielka pani. Na pierwszy początek wydostał sobie Vampa zkądeś rusznicę, i tak się wyćwiczył w strzelaniu, iż uchodził powszechnie za najcelniejszego strzelca i najwaleczniéjszego *contadino* w całéj okolicy.

W owym czasie stał na czele zbójców, którzy w pobliżu Rzymu postrach roznosili, niejaki Cucumetto. Byłto nadzwyczajny śmiałek, lecz tę jego sławioną śmiałość przechodziła jeszcze oburzająca dzikość. Dnia pewnego, siedząc jak zwykle razem, usłyszeli Vampa i Teresa kilka strzałów w pobliżu, a w téjże chwili wyskoczył jakiś mężczyzna zpoza krzaków, i prosto ku nim nadbieżał.

„Gonią mię!» zawołał nieznajomy. — »Czy nie wiecie jakiéj kryjówki tu zaraz w pobliżu?»

Oboje młodzi ludzie dorozumieli się natychmiast, iż to jest zbójca, lecz między rzymskim ludem wiejskim a zbójcami panuje jaknajściślejsze współczucie i przychylność, które każdemu ściganemu rabusiowi niezawodne wsparcie u piérwszego lepszego rolnika lub pasterza zapewnia. Vampa pozostał w milczeniu; poszedł spieszno ku jaskini oddalonéj o kilkadziesiąt kroków i ukrywszy w niéj zbiega, zatoczył przed otwór ogromną bryłę kamienia. Skoro tylko na swoje miejsce powrócił, już nadjechało w pogoń z lasu czterech konnych karabinijerów. Ujrzawszy pasących trzodę wieśniaków, zapytali ich, czy kogo nie widzieli uciekającego. Luigi odpowiedział zaprzeczeniem.

»Szkoda, wielka szkoda dla was biédaków» ozwał się jeden z karabinijerów— „gdyż ten co teraz nam uciekł, byłto sam naczelnik bandy rozbójników.

„Cucumetto?» wykrzyknęli Vampa i Teresa zarazem.

»Tak jest» — odrzekł żołnierz — »bylibyście sobie czterysta cekinów zarobili, gdybyście byli do jego pojmania nam dopomogli.»

Luigi i Teresa spojrzeli z zadziwienieniem po sobie.

„To prawda, że wielka szkoda» — ozwał się Vampa, „ale cóż robić, kiedyśmy go nie widzieli.»

Na to puścili się karabinijery w dalszą pogoń. Vampa pobiegł, odsunął bryłę zamykającą wnijście do jaskini, i wypuścił herszta rabusiów. Ocalony Cucumetto w znak wdzięczności ofiarował swemu wybawcy znaczny datek pieniężny, lecz Vampa tego nie przyjął, a cała uwaga bandyty w téj chwili spoczęła na Teresie, dla któréj dłuższego widzenia kilkokrotnie powracał, aby — jak się zdawało — obojgu najtkliwsze oświadczył dzięki.

Zdarzyło się, iż następnego karnawału wyprawił był hrabia San Felice świetny bal na cześć imienia swojéj córki Karmeli, a że w takim razie i wieśniakom przypatrywać się było wolno, przeto prosiła Teresa swego kochanka, aby ją tam zaprowadził. Uczta była nadzwyczaj wystawna, a wiele młodych pań i panów wystąpiło w kostiumie wieśniaków z Fraskati, Albana, Sori, i innych sąsiednich włości. Karmela uwzięła się złożyć z téj mieszaniny strojów, rożnobarwne grone krajowego tańcu, do którego uzupełnienia, jednéj jeszcze damy nie dostawało. Hrabia wskazał na Teresę, która wsparta na ramieniu Luigiego, stała w pośrodku wieśniaków.

„Czy pozwolisz mój ojcze?» — spytała Karmela.

„Dla czegoż nie! i owszem!» odrzekł hrabia — »Wszakżeto czas karnawałowy.»

Karmela wysłała natychmiast jednego z młodych panów po piękną dziewczynę wiejską, a ta pomimo zazdrosnych spojrzeń kochanka, nie mogła odmówić tak zaszczytnemu wezwaniu. Luigi śledził okiem ostrowidza wszelkie poruszania Teresy i jéj tancerza, a przy każdém ich podaniu sobie ręki, namiętny młodzian czerwienił się z zazdrości. Gdy wreście Teresa do kochanka wróciła, spytał ją tenże: „Tereso, o czémżeś ty myślała, tańcząc naprzeciw młodéj hrabiny?»

„Ba! Myślałam sobie wiele pięknych rzeczy» — odrzekła nieroztropna dziewczyna — „myślałam sobie, iżbym chętnie pół życia mego za to dała, gdybym tak piękne suknie jak ona mieć mogła!»

„A cóż twój tancerz do ciebie mówił?»

„Mówił mi wiele pięknych rzeczy, mówił mi, iż

tylko ode mnie zależy, mieć natychmiast jeszcze piękniejsze suknie!"

„Kiedy on tak mówił" — odrzekł Luigi, „więc i ja ci mówię, że będziesz je miała, Tereso."

Dziewczyna spojrzała z podziwieniem na kochanka, lecz wzrok jego był tak ponury i dziki, iż nie śmiała go zapytać, co przez to powiedzieć myślał.

Jeszcze téj saméj nocy wszczął się wielki pożar w wili San Felice, a to właśnie w téj części budynku, gdzie mieszkała Karmela, która tylko cudem przez jakiegoś młodego wieśniaka z płomieni wyratowaną została. Wyniósł on ją był prawie nadludzką siłą z jéj sypialni, i złożywszy ją w ogrodzie pośród służby, zniknął w téjże chwili bez śladu, tak iż nawet do przypatrzenia mu się czasu nie było.

Nazajutrz rano wyszedł Luigi z wesołym uśmiechem naprzeciw Teresie, i ku jéj zdziwieniu zaprowadził ją do groty, gdzie zastała pyszny ubiór, którego tak żywo pragnęła — a przy nim także naszyjnik z pereł i dyjamenty. Widok niespodziany tylu klejnotów, zachwycił i oczarował Teresę; ledwie przelotném spojrzeniem podziękowała kochankowi, i ani zapytawszy, jakim sposobem on w posiadanie darowanych jéj skarbów przyszedł, pobiegła skwapliwie w głąb jaskini, dla przypatrzenia się swoim darom, podczas gdy Luigi ujrzawszy że jakiś podróżny konno ku téj stronie nadjechał, szybko kamień przed wnijście do groty zatoczył. Zbliżywszy się ku niemu, zapytał podróżny o drogę, a Luigi zaprowadziwszy go do lasu, wskazał mu gościniec ku Tivoli.

„Oto najprostsza droga, *eccelenza*" rzekł Vampa.

„Weź to za twoje usługę," rzekł nieznajomy, dając mu kilka srebrnych groszy.

„Grzeczności mojéj nie sprzedaje za pieniądze"— odrzekł dumnie Luigi.

„Kiedy tak, weźże przynajmniéj te dwa cekiny w darze, jeźli niechcesz zapłaty, i kup za nie kulczyki swojéj kochance."

„Dziękuje, *eccelenza*" — rzekł pasterz, przyjmując dar podróżnego. — „Lecz pan raczysz przyjąć w zamian ode mnie ten sztylet, którego rękojęć jest mojéj własnéj roboty."

„Jakże się zowiesz?" — zapytał nieznajomy.

„Luigi Vampa" — odrzekł młodzieniec hardo, jakby miał odpowiedzieć: Aleksander, król Macedoński. „A wyż panie?"

„Nazywają mnie: Sindbad, majtek" — odpowiedział podróżny.

Vampa schował cekiny do kieszeni i wracał zwolna ku grocie, gdy w téjże chwili nagle jakiś krzyk z tamtąd go doleciał. Młodzieniec poznał w nim głos Teresy, i nabijając w biegu rusznicę, pognał pędem do groty. Będąc już w pobliżu, ujrzał jakiegoś mężczyznę, unoszącego Teresę, jak niegdyś centaur Nessus unosił Dejanirę. Luigi nie wahał się i chwili; wymierzył strzelbę: a Teresa i jéj porywca, padli oboje na strzał o ziemię. Lecz Teresa zerwała się zdrowa, podczas gdy ugodzony kulą mężczyzna, w mękach na miejscu ducha wyzionął. Vampa przystąpił do niego i poznał, że to był Cucumetto. Poczém zbliżył się młodzian do Teresy i rzekł:

„Dobrze, żeś ty już ustrojona, bo teraz na mnie koléj stroić się."

Teresa była już całkiem w szaty hrabianki San Felice ubrana. Vampa wziąwszy trupa Cucumetta na barki, zaniósł go do jaskini Nie bawiąc długo, wrócił odziany bogatym strojem bandyty. Teresa ujrzawszy go wskrzyknęła z zadziwienia.

„I jakże" — ozwał się Luigi surowo do Teresy— „jestżeś gotowa podzielać los mój ze mną, jakikolwiek on będzie?"

„Gotowam aż do śmierci;" odpowiedziała dziewczyna z serdecznym zapałem.

„I pójdzież zemną, dokąd ja pójdę?"

„Choćby na koniec świata!"

„Więc daj mi rękę, i pójdźmy, gdyż nie mamy czasu do stracenia."

Poczém pospieszyli oboje ku lasu. Vampa znał wszystkie ścieżki i szedł bez przeszkody gęstémi zaroślami wzdłuż brzegów rzeki, aż wreszcie jakiś nieznajomy człowiek wystąpił nagle zza drzewa, i zawołał dzikim głosem:

„Ani kroku daléj, lub zginęliście!"

„Żarty, mój przyjacielu" — odrzekł Luigi głosem lekceważenia. „Przecież wilk wilka nie pożre."

„Ktoż ty iesteś?" zapytał ponuro nieznajomy.

„Jestem Luigi Vampa i chce się z wami zapoznać."

„Kiedy tak, pójdź ze mną!" mruknął zbójca

Luigi słynął w okolicy jako wyborny strzelec i śmiałek jakich mało. Przyjęcie jego do grona bandytów nie podlegało żadnéj trudności. Zbójcy utracili byli swojego naczelnika, a młody zuchwalec sam się przed nimi pochwalił, iż on padł z jego ręki. Oprócz tego opowiedział im, że to on był, który zapalił wilę San Felice, aby nabył stroju weselnego dla swojéj narzeczonéj. Za taką śmiałość, obrano go jednogłośnie naczelnikiem całéj bandy, zwłaszcza, ze już i tak ubiór poprzedniego dowódcy miał na sobie.

Na tém skończyło się opowiadanie gospodnika hotelu angielskiego.

„A zatém, powiadasz pan" — rzekł Lucyjan — „iż ten zbójca teraz w okolicach Rzymu łotruje?"

„I to z śmiałością, o jakiéj dotychczas nie słyszano" — odpowiedział signor Pastrini.

W téjże chwili gdy to gospodnik mówił, zajechał powóz, a signor gospodnik rzekł:

„No, jakże moi panowie, mamże kazać woźnicy, aby was wiózł przez bramę del Popolo?"

„Nie, przez miasto;" — odrzekł Lucyjan.

„Cóż to, mój przyjacielu!" — ozwał się Albert — »Miałem cię w istocie za odważniejszego."

Po tych słowach wsiedli obadwaj do powozu i pojechali do Kolosseum.

(Dokończenie nastąpi.)

Nieznajoma śpiéwaczka.

Znany francuzki śpiewak Lablache, słynny zarównie ze swego głosu, jakoteż i swojéj kolosalnéj postaci, był bardzo lubiony od Anglików. W r. 1839 znajdował on się w Londynie, i miał pomiędzy swymi uczniami spiewu także pewnego młodego, przystojnego, bardzo majętnego lecz nieco melancholijnego Włocha. Raz przy lekcyi ujrzał go Lablache jeszcze posępniejszym niż zwykle, i spytał go z udziałem, co mu jest takiego, czy się chorym nie czuje? czy może jeszcze jakie sto tysięcy odziedziczył? lub czy się nndzi? To ostatnie pytanie w sęk ugodziło. Młody bogaty panicz czuł jakąś nieznośną próżnię w swém sercu, czyli raczéj jakąś niewysłowioną tęsknotę, która mu wszelkie uciechy życia zatruwała. Nareszcie przemożony uczuciem, wyznał swemu mistrzowi osobliwszą przyczynę tego smutku i rzekł: „Szukam istoty, osłonionéj urokiem tajemnicy, którąbym tylko z daleka jak słońce mógł kochać i ubóstwiać. Pragnę poświęcić wszystkie moje myśli i uczucia wyłącznie jednéj takiéj istocie, któraby nic o tém nie wiedziała..."

»A zatém dla osobliwości życzysz sobie kochać się nieszczęśliwie?" spytał Lablache.

„Chciałbym kochankę moję z daleka kochać, ponieważ wszystkie córy téj ziemi mają swoje błędy, a przeto na bliższém poznaniu niemało tracą; ja zaś pragnę istoty, zupełnie doskonałéj."

To mówiąc, przerzucał Włoch melancholijny w roztargnieniu karty pysznego *album*, które oprawne prześlicznie w aksamit i złoto, przyjemną woń roniło, a miało napis: »Dla mego nauczyciela śpiewu?"

»Od kogoż pan masz to piękne *album*?"

„Od jednéj z moich uczennic."

„Jakże się ona nazywa?"

Lablache ociągał się przez chwilę z odpowiedzią, a potém rzekł:

„Nazwiska jéj wymienić nie mogę."

»A toż dla czego? Jestem témbardziéj ciekawy. Czy ona piękna?"

„Jak rzadko!"

„Jakież ma włosy?

„Jasne."

„A oczy?"

„Niebieskie."

»Czy słuszna?"

„Jest raczéj miernego wzrostu, lecz prawdziwie majestatycznéj postawy; ma prześliczne zęby, a przytém, jest nadzwyczaj rozsądną, i niewymownie miłą."

„Czy mężatka?"

„Jeszcze panną."

»A zatem muszę ją widzieć, muszę jéj hołd mój złożyć, a jeźli mi się podoba..."

»Ożenić się z nią?"

„Tak jest."

»Nigdybyś pan jéj ręki nie otrzymał. Zachodzą nieprzezwyciężone przeszkody."

„Więc postaraj się pan przynajmniéj, abym ją tylko raz ujrzał."

„Jeźli mi pan przysiężesz, że do niéj mówić nie będziesz — i tylko tak niemém, o jakiém przed chwilą wspomniałeś, zadowalniać się będziesz kochaniem —?"

»Przysięgam to panu, i przyrzekam nawet wyjechać nazajutrz z Londynu i z całéj Anglii."

Wieczorem zaprowadził Lablache naszego Włocha na koncert, który się już był rozpoczął gdy weszli. Wszystkich oczy były zwrócone na pewną bardzo skromnie ubraną damę.

„Otoż ona!" rzekł Lablache.

Włoch stał przez cały koncert z wlepioními w damę oczyma, a nazajutrz odjechał rzeczywiście do Wenecyi, jak przyrzekł.

Po roku ujrzał go znowu Lablache w Paryżu, i zaraz po przywitaniu, zapytał go Włoch o nieznajomą. »Dotąd jeszcze myślę o niéj" — rzekł z uniesieniem — »i widzę ją często w moich marzeniach. Czy bierze jeszcze lekcyje od pana?"

»Już nie; usposobiła się przez ten przeciąg czasu na znakomitą śpiewaczkę, lecz niedawno temu poszła za mąż."

„Za mąż!" powtórzył Włoch z westchnieniem. — Szkoda!

Nasz entuzyjasta bawił przez całą zimę w Paryżu. Mawiał często o nieznajoméj śpiewaczce, nieraz nawet całował *album*, które ona swemu mistrzowi darowała. Wszakże prędzéj czy późniéj uroczy sen znika, a rzeczywistość owłada rozmarzoną duszę. Włoch powrócił do ojczyzny i ożenił się tam z niezmiernie bogatą księżniczką. Przed dwoma laty chciał swojéj żonie pokazać stolicę mody i świata. Przybył więc do Paryża i udał się do Eu, gdzie wówczas nadzwyczajnie żywy ruch panował. Tamto, wpośród książąt i królewiców, postrzegł ową młodą damę, którą na pierwszy rzut oka poznał. „Wielki Boże! To ona! to moja nieznajoma śpiéwaczka!" I przystąpił żywo do wpobliżu stojącego oficera, którego drżącym głosem zapytał: „Czy nie możesz mi pan z łaski swojéj powiedzieć, jak się owa dama nazywa?"

„Ta w różowéj sukni z białym krepowym kapeluszem?»

„Tak jest." —

„Mój panie" — odrzekł oficer zdziwiony — „dama, która tak osobliwszém spojrzeniem mierzysz, jestto — W i k t o r y j a, królowa Anglii."

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. **Kochańskiego** wyszedł nr. 10ty i zawiéra: 1) Złożenie nasion do zasiéwu stałych pastwisk, zastosowane do rozmaitéj gleby. (Przez wydawcę). 2) Rzut oka na stan dzisiejszy wyrabiania cukru z buraków. 3) O miejscach ochronnych sztucznie urządzonych, czyli tak zwanych remizach w polu dla zajęcy i kuropatw. 4) O plonie ziemniaków sprowadzonych z Hohenhejmu; przez Fr. Mysłowskiego. 5) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją **Tomasza Kulczyckiego**, wyszedł nr. 5ty i zawiéra, prócz mód następujące szczegóły: 1) Obraz fantastyczny. Przez Maryją z Ch. P. (Dokończenie). 2) Wiérsz. Do dwóch podróżujących sióstr. 3) Huragan. 4) Wiadomości literackie.

X. **Floryjan Bobrowski**, znany w literaturze z swoich prac lingwistycznych, a mianowicie jako autor wielkiego słownika łacińsko-polskiego, umarł w zeszłym miesiącu, w Wilnie, przeżywszy lat 70. Czcigodny ten starzec, pełen zasług w literaturze, celował również cnotami w życiu prywatném, będąc najprzykładniejszym pasterzem swoich parafijan i prawdziwym ojcem swych kmiotków.

Pomnik Czarneckiego. »*Kuryjer Warszawski*« donosi: »Wójtowie gmin i burmistrze miast otrzymali od rządu gubern. Augustowskiego polecenie pilnego śledzenia niewiadomego sprawcy, który w nocy z dnia 24 na 25 stycznia r. b. uszkodził w mieście Tykocinie pomnik Stefana **Czarneckiego**, wojewody kijowskiego, hetmana pol. kor., przez odłamanie i skradzenie z ręki prawéj, buławy, długiéj przeszło pół łokcia, złoconéj. Pomnik Czarneckiego, z kamienia cisowego wykuty, w którym bohater ten wyobrażony jest w postaci stojącéj osoby, wystawił w r. 1755 Jan Klemens Branicki, hetman w. kor., ostatni potomek swego domu, prawnuk Czarneckiego, po jego córce Katarzynie, która była za Janem Klem. Branickim hr. z Ruszczy, marszałkiem nadw. kor. Łacińskie napisy na pomniku, zawiérają wyjątki z przywileju Jana Kazimierza, który z dnia 13 czerwca 1661, kiedy nadane zostało Czarneckiemu za czyny wojenne starostwo Tykocińskie, tak opiewa przy końcu: »Resztę co niedostaje do nagrody zasług Czarneckiego odda mu późna potomność.«

»**Dzienniki**« — mówi Prutz w swojéj »historyi niemieckiego dziennikarstwa —« są rozmową czasu z samym sobą. Ztąd dziennikarstwo jest niejako ową tajemną księgą, w którą wiek każdy swoje przygody, życzenia i najskrytsze myśli wpisuje, a podobnie jak każdego pojedyńczego człowieka najdokładniéj z jego wyczytanego dziennika poznać byłoby można, tak też i cała epoka nigdzie wierniéj się nie odbija i nie odźwierciadla, jak w dziennikach swojego czasu. Wiadomości polityczne, doniesienia urzędowe i naczelne, rozumujące artykuły dostarczają materyjału do obrazu właściwych publicznych dziejów, podczas gdy znajdujące się w dodatkach uwiadomienia i anonsy dozwalają nam zajrzeć w prywatne zabiegi i domowe stosunki, których jedna pobieżna wzmianka rzuca nieraz ciekawsze światło na życie jakiego okresu, niż całe stosy prawniczych dokumentów. Owe niegdyś w Rzymie wychodzące *acta diurna*, jeźli one też takowe anonsy zawiérały, mogłyby Liwiusza nam zastąpić, a przynajmniéj byłyby żywszym obrazem żywota starożytnych Rzymian, niż sławne księgi Tacyta.»

Zamrażanie wody w rozpaloném naczyniu. Jedném z najciekawszych zjawisk naukowych obecnéj chwili w Anglii, są doświadczenia chemiczne profesora Boutigny w Glasgowie. Zajmuje on się główuie badaniem ciał będących w stanie sferycznym, i zastosowaniem nabytych ztąd wiadomości do kotłów parowych. Z codziennego doświadczenia wiemy, iż kropla wody, puszczona na rozżarzone żelazo, kulistą formę przybiéra. Mniéj wiadomém jest to, iż w takim razie krople wody w niejakiéj odległości od żelaza się zatrzymują, i że gorącość płyty żelaznéj wcale się im nie udziela. Przy tych doświadczeniach okazywał pan Boutigny rozżarzony kubek platynowy, mający w sobie nieco wody, która w nim nito kula śklanna tańczyła, lecz nie kipiała. Gdy jednak kruszec do pewnego stopnia wychłódnie, natenczas przylega woda do niego, zaczyna kipiéć, i ulotnia się w parę. Toż samo dzieje się z każdém ciałem, które tylko kulisty kształt przybrać może, skoro się je do rozżarzonéj powierzchni zbliży. Na dowód tego twierdzenia napełnił profesor rozżarzony kubek platynowy pewną ilością jodyny, amoniaku i trochą zapalnego płynu; wszystko to przybrało postać kulistą i tańczyło w kubku, podobnie jak kula wodna, bez ulotniania się, dymienia się lub palenia, aż dopóki platyna nie ochłódła. Następnie rozżarzył pan Boutigny kuleczkę śrébrną i włożył ją do śklanki zimnéj wody, w któréj żadnéj zmiany nie dostrzeżono, właśnie jakby ów kawałek śrébra był zimnym. Dla wytłumaczenia tego osobliwszego pojawu, twierdził tenże profesor, iż w tym razie pomiędzy ciałem wrzącém a ciałem kulistém tworzy się cienka warstewka pary, która udzielaniu się ciepła przeszkadza. Nadto uważa profesor Boutigny te doświadczenia za nieocenione skazówki dla sztuki mieszania kruszców, jako też do wyjaśnienia przyczyn pękania kotłów parowych. Jeźli bowiem w kotle parowym woda styka się z zbyt rozżarzoną ścianą kotła, natenczas gorąco nie udziela się wodzie, a kocieł może nawet bez wydania dostatecznéj ilości pary dojść najwyższego stopnia gorącości; ale nareszcie gdy ochłódnie, tak wielka ilość pary się utworzy, iż kocieł może pęknąć. Ostatniem i najciekawszém doświadczeniem profesora Boutigny było zamrożenie wody w rozpaloném naczyniu. Angielska »Gazeta literacka« tak o tém mówi: »Jeźli jakie ciało ma takę właściwość iż niżéj zera czyli punktu zamarzania wody, kipi, tedy ciało to w takiéj temperaturze, w któréj woda jest płynną, będzie się trzymało poniżéj swego stopnia kipienia, a przeto woda w zetknięciu z nim musi zamarznąć. Takiem ciałem jest np. kwas siarkowy; w swoim tak zwanym sferoidalnym stanie w rozżarzonem naczyniu jest on zimniejszym od lodu; ale w zetknięciu z wodą ulotnia się ten kwas siarkowy, przy czem zimno tak nadzwyczajnie się wzmaga, iż woda zamarza.» — Widok kropli wody, która do rozżarzonego naczynia wpuszczoną została i niemal w oka mgnieniu jako bryłka lodu z kubka na dłoń eksperymentatora wróciła, sprawił głośne w całéj sali oklaski.

Dziewczyna elektryczna. (Z listu z Paryża, pod d. 18. lutego). Na wczorajszém posiedzeniu akademii umiejętności, przytoczył p. Arago następujący osobliwszy wypadek. Młoda, 13letnia dziewczyna, Aniela Cottin, robotnica w pewnéj fabryce jedwabnych rękawiczek w departamencie Finisterre motała jedwab' z inną dziewczyną, gdy oto nagle mo-

towidło, przy którém jedna z tychże pracowała, odskoczyło od nich o jakie dziesięć kroków. Dziewczęta ustawiły motowidło znowuż na dawném miejscu, lecz po kilku minutach ten sam wypadek się powtórzył, i dał powód do wielkiego hałasu w całej fabryce; jedni przywołali kapłana, drudzy lekarza. Ten postrzegł w pomienionej dziewczynie tak nadzwyczajne własności, iż namówił jéj rodziców, aby z nią do Paryża pojechali. W Paryżu przedstawiono ją panu Arago, który następne doświadczenia na niej uczynił: Lewa ręka Anieli przyciągnęła mocno kawałek papieru ze stołu ku sobie. Poczém trzymając obiema rękami swój fartuszek, przystąpiła do okrągłego stołu, i zaledwie się fartuszkiem go dotknęła, stół się obalił. Aniela siadła na krzesło, ale zaledwie się nogami ziemi dotknęła, już krzesło gwałtownie ku ścianie odskoczyło, a ona sama w przeciwną stronę rzuconą została. Pan Arago chciał krzesło przytrzymać, lecz nie miał dość siły po temu. Nawet gdy p. Augier wraz z Anielą w tém samem krześle usiadł, zostali oboje z krzesłem na ziemię obaleni. Oto są doświadczenia, jakie p. Arago w piérwszéj półgodzinie mógł uczynić; oszukaństwa przypuszczać tu nie można, gdyż 13letnia dziewczyna nie jest w stanie tyle fizycznéj siły okazać. Oprócz tego przedsiębrał dr. Tanchon dalsze doświadczenia z Anielą i przekonał się, iż wszystkie powyżéj opisane zjawiska z jeszcze większą siłą się powtarzały. Pan Tanchon podaje niektóre ciekawe szczegóły, towarzyszące tym fizycznym zjawiskom. I tak, krzesło, na którém dziewczyna siada, przyczepia się najprzód do jéj sukni, potém lgnie jeszcze bardziéj do jéj ciała, aż wreszcie naraz gwałtownie odskakuje. Wszakże skoro dziewczyna szkłem, kitajką, woskiem, lub jakąkolwiek inną materyją, nie udzielającą elektryczności, od ziemi jest przedzieloną, wszelkie te zjawiska ustają. Tylko lewa ręka Anieli jest magnetyczną; dotknąwszy się nią magnesu, doznaje dziewczyna najosobliwszych uczuć; te uczucia bywają odmienne, stosownie do tego, czy magnes północnym lub południowym biegunem jéj ręki się dotyka; od północnego bieguna uczuwa się Aniela odtrąconą. — Pan Arago uczynił wniosek, aby akademija mianowała komisyję, któraby dalsze badania w tej mierze przedsięwzięła.

Rzadkie dukaty. Dla numizmatyków nie masz droższych dukatów nad owe z napisem: *»Dat cui vult.«* (Daje komu chce.) Są one bite w r. 1568, z rozkazu szwedzkiego króla Eryka XIV. Na licowéj stronie widać jego wizerunek z napisem imienia i tytułów. Druga strona wyobraża okręt na morzu; u brzegu siedzi dziewczyna, któréj na łono spada berło z napisem *»Dat cui vult.«* Król Eryk starał się był z kolei o rękę czterech zagranicznych królowych i księżniczek, to jest Elżbiéty Angielskiéj, Maryi Szuart, Krystyny Lotaryńskiéj i Krystyny Heskiéj, i otrzymał od każdéj z nich odkosza. Rozgniewany tą odprawą, postanowił wynieść dziewczynę prostego urodzenia na tron królewski, i dla umartwienia wymienionych księżniczek, a uczczenia swojéj małżonki, kazał bić owe dukaty. Wszakże jego poddani wzięli mu tak dalece za złe to małżeństwo, iż go nietylko z tronu ztrącili, ale nawet z kraju wygnali, a dukaty po większéj części przetopili. Z tego powodu należy mała liczba tych monet, które jeszcze ocalały, do rzędu najkosztowniejszych osobliwości.

Sprawiedliwość w 19tym wieku. Za przykład niegodziwości, z jaką nie tylko w Paryżu ale i gdzie indziéj sprawiedliwość ku wiecznéj hańbie i osławie rodu ludzkiego, w naszych oświeconych czasach wyrządzaną bywa, może następujący wypadek nam posłużyć: Przed niedawnym czasem umarł pewien cukiernik i zostawił dwie małoletnie sieroty. Natychmiast udał się komisarz do mieszkania nieboszczyka i opieczętował takowe. Po zdjęciu pieczęci nastąpiło spisanie inwentarza i licytacyja która przyniosła kwotę 872 franków. Z tych 872 franków, po odtrąceniu kosztów sądowych, zostało się obudwom sierotom po 2 grosze! Dla administrowania tego majątku mianowano im opiekuna a dzieci oddano do domu sierót.

Liczby najlepiéj dowodzą. Są jeszcze dotąd niektórzy ludzie, co nie chcą wierzyć, iż można być żywcem pogrzebanym; dla tych posłuży następne statystyczne obliczenie przedwczesnych pogrzebów we Francyi. Od roku 1833 zdarzyło się tam 94 wypadków, gdzie tylko ślepy traf nieszczęsnych w letargu leżących ludzi od okropności pogrzebania żywcem ocalił. W téj liczbie najduje się 35 osób, które w chwili rozpoczęcia obchodu pogrzebnego same z siebie przytomność odzyskały; 13 osób przebudziło się w skutek wrażenia, jakie na nich oznaki nadzwyczajnego żalu ich pozostałych krewnych sprawiły; 7 osób przyszło do siebię przez wywrócenie się trumny, 9 przy niezgrabnem zawijaniu ich w prześcieradło grobowe, 5 z powodu braku powietrza w trumnie, 19 podczas przypadkowego, a 6 podczas umyślnego, przez krewnych nakazanego odwleczenia pogrzebu.

Si non è vero è ben trovato. Strój jedynéj damy na tegorocznych balach wart był podług obliczenia pewnego dziennika Warszawskiego, co następuje: ubranie głowy — 10 korcy żyta, suknia, przetykana złotem — 100 korcy, koronki brabanckie — 150 korcy, trzewiki paryzkie — 1 korzec, długie rękawiczki paryzkie — 1 1/2 korca, perfumy — 2 korce, prawdziwy szal kaszmirowy — 700 korcy, a piękna chustka batystowa — 200 korcy. Tak więc, nie licząc w to złotych i dyjamentowych przyborów, ani jéj własnéj osobistéj wartości, kosztowła jedyna dama 1164 1/2 korca żyta.

Bal literacki. Paryzkie stowarzyszenie literatów urządziło bal składkowy na kształt owego, jaki coroku przez stowarzyszenie artystów dawany bywa. Dochód z tego balu przeznaczony jest na wsparcie ubogich autorów. Bilet kosztował 50 franków.

To co innego! Przed niedawnym czasem toczył się między dwoma stronami proces o studnią. Jeden z adwokatów miał tak długą mowę, iż go prezydent napomniał, aby dla téj drobnostki daremnie zbyt wiele czasu sądowi nie zabierał. Na to odpowiedział adwokat: »Darujesz panie prezydencie, idzie tu o wodę, a obie sporne strony handlują winem.« — »Ah, to co innego!« odrzekł prezydent, widząc na co handlarzom winnym woda się przyda.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.